

Wojciech Stanisławski Tropem niedźwiedzia

Czterdziesty siódmy tom *Dzieł zebranych* – zgoda, z jednym wyjątkiem, jakim są *Przekłady poetyckie wszystkie z roku 2015* – nie ma konkurencji, jeśli idzie o ramy czasowe: 1945–2004. W jednych okładkach Miłosz tużpowojenny, Miłosz czasu stalinizmu i epoki Berkeley, Miłosz z okresu Nobla i Miłosz *senectus*; urzędnik, tłumacz, dyplomata, eseista, poeta, mag, kurator własnej spuścizny. Tylu mniejszych od niego zaszczycono wydaniem ineditów, ich szuflady i teczki budziły gorączkową ciekawość ukrytych myśli, aliansów, sekretów. Jak mogłoby się bez tego obyć w przypadku Miłosza? Jakiej można dowiedzieć się prawdy o nim, które nie odsłoniły dotychczas jego biografie, listy, *Raporty dyplomatyczne* wydane przed ośmiu laty przez Wydawnictwo Wiedź?

Wbrew obietnicy tytułu mamy do czynienia z przemyślanym wyborem, nie z otwarciem archiwum na oścież. Żadnych *lettres d'amour* na fiszce katalogowej, żadnych wariantów *Daru* na odwrocie *manuala* piły spalinowej, żadnych szkiców drzewa genealogicznego, ani Urizena czy Tharmasa, ani bodaj Kunatów. Sześciuosobowe kolegium redakcyjne dokonało wyboru tekstów o charakterze publicystycznym (głównie notatek do odczytów, z niewielkim dodatkiem nieopublikowanych artykułów), deklarując, że jako główną zasadę formalną przyjęło integralność, czytelność i kompletność tekstu, jako zasadę kompozycyjną – reprezentatywność czasową i tematyczną. Czyli rewia miłoszianów, przekrój Miłosza, Miłosz *miłoszissimus*.

Wyboru dokonano z niezwykle rygorystycznym kryterium „niepublikowalności” tekstów przestrzegano, posilkując się pół tuzinem opracowań bibliograficznych, uzupełnionych kwerendami bibliotecznymi i online. Więc Miłosz naprawdę nieznany, zdania i uwagi, które nie były jeszcze przedmiotem niczyjej refleksji krytycznej, żadnego rozbioru? W najlepszym razie wypowiedziane raz jeden, trzy czwarte wieku temu, do grona przypadkowych słuchaczy? Do tego jeszcze wrócimy; tymczasem, pisząc o pracy grona redakcyjnego, podkreślić trzeba jego profesjonalizm: rzadko zdarza się nota edytorska tak drobiazgowa, a zarazem tak przejrzysta, uwzględniająca wszystkie warianty sytuacyjne i liczne odstępstwa od przyjętych założeń – głównie kilka przypadków rezygnacji ze ścisłego przestrzegania chronologii. Rzadko zdarza się przyjemność ze sformułowań tak fachowych, jak uwzględnianie różnych wariantów tekstologicznych, kwestie ujednolicania interpunkcji czy poprawy literówek. Ba, nawet

Czesław Miłosz: *Z archiwum. Wybór publicystyki z lat 1945–2004*. Opracowanie Mateusz Antoniak, Stanley Bill, Karina Jarzyńska, Ewa Kotodziejczyk, Marzena Woźniak-Tabieniec. Seria *Dzieła zebrane*. Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020, s. 740.

komentarze edytorskie do poszczególnych utworów są świadectwem mądrego petyzmu. Formuły i opisy, z którymi częściej bodaj spotykają się (i używają ich) pracujący z dokumentami źródłowymi historycy niż filolodzy, wzruszają mimo ich ostentacyjnej rzeczowości. „Maszynopis dobrze zachowany, na pierwszej karcie ślad odbitego spinacza biurowego, na innych drobne naderwania po wyjętej zszywce. Cztery pierwsze karty zapisane czcionką prostą z polskimi znakami diakrytycznymi, z zachowaniem justacji i głębszego marginesu z lewej strony. Siedem kolejnych kart zapisano czcionką pochyłą, częściowo z polskimi znakami diakrytycznymi dopisanymi odręcznie czarnym atramentem”.

W takich właśnie uwagach mieszka czułość rzeczy. W pewnym sensie nie da się dotrzeć bliżej do tej spuścizny – bliżej niż do esowatego, rudego śladu na pierwszej karcie, jakby początku labiryntu, z kilkoma wyraźniejszymi rdzawymi plamami tam, gdzie wilgoć oddechu autora osiadła na papierze i przez kolejnych trzydzieści, czterdzieści lat żelazo niespiesznie reagowało z wodą i celulozą, aż do chwili, gdy konserwator Beinecke Rare Book and Manuscript Library rozgiął i wyrzucił do kosza spinacz, ten rozsądnik zgubnych tlenków. Atrament Watermana, niezrudziały, mocne kreski ó i ł na karcie numer 5 w pudle nr 114, folderze 1624. „O tak, nie cały zginę, zostanie po mnie / Wzmianka w czternastym tomie encyklopedii / W pobliżu setki Millerów i Mickey Mouse”. Ciekawszy będzie dopiero tłusty ślad szminki na fiszce, idealnie okrągła plama po oleju do smarowania piły, który skapnął na rękopis; oczywiście, jeśli tom takich ineditów kiedykolwiek się ukaze.

Na razie jednak stoimy wokół pięćdziesięciu dziewięciu szkiców tematycznie i stylistycznie rozstrzelonych. Wydaje się, że rygor „tekstów najbardziej reprezentatywnych” silniej obowiązywał w pierwszych dwóch trzecich tomu. Począwszy od lat osiemdziesiątych XX wieku znalazło się w omawianym zbiorze więcej miejsca na brulionowe lub alternatywne wersje tekstów ostatecznie opublikowanych w kształcie niewiele odbiegającym od wariantu, który obecnie trafił w nasze ręce; na drobne noty biograficzne. Wreszcie – na krotochwilne drobiazgi, dużej nieraz urody, jak parafraza jednej ze specjalności paryskiej „Kultury”, jakimi były kalendaria tematyczne, zwane „Kronikami” (niemiecką, rosyjską, ukraińską *etc.*). „Kronika litewska”, powstała na przełomie lat 1988/1989, dostarcza niemało radości swym opisem „akademii ku czci wielkiego Litwina, księcia Jurgisa Gedraitisa” oraz peregrynacji „przybyłej z Polski wycieczki Związku Norwidologów, liczącej ponad tysiąc osób” i można mieć tylko nadzieję, że podobnie ucieszyła jej adresata w Maisons-Laffitte, w którego korespondencji zostanie może kiedyś odnaleziona kopia tego utworu; jest to jednak utwór kwalifikujący się raczej do zapowiadanego przez wydawcę tomu *variów* niż do wyboru publicystyki.

Wolno mieć notabene nadzieję, że jeśli w tomie takim znajdzie się więcej podobnych figli noblisty, nastrój ich twórcy udzieli się choć odrobinę autorom przypisów: w obecnej edycji ze śmiertelną powagą poinformowali, że „Związek Norwidologów” to „Nazwa fikcyjna” (przyp. 846), a wcześniejszy o dwa akapity, iskrzący się od humoru *pure nonsense* skomentowali ostrożnym

„niewykluczone, że zdanie ma charakter satyrycznej fikcji” (przyp. 845). Owszem, biorąc pod uwagę charakter całej „Kroniki...”, można to stwierdzić z niezachwianą pewnością.

Mniejsza jednak o *miscellanea* ze spokojnych lat ponoblowskich. Decydujący jest Miłosz przepoczwarczający się, z czasów, kiedy każdy niemal rok oznaczał kolejną wielką dlań przemianę. Pierwsza podróż do Londynu i lata waszyngtońskie, zerwanie z PRL i głodny rok w Brie Comte-Robert. Nie ma powodu wątpić w złożoną przez kolegium redakcyjne deklarację wyboru tekstów „reprezentatywnych” – bo też rzeczywiście są one wiernym odwzorowaniem wszystkich wyborów i fascynacji pisarza, które znamy z wszystkich opublikowanych wcześniej dzieł. Jest to jednak deklaracja obosieczna, a „naczytany” Miłosza odbiorca odkrywa, że jest o krok od zadania heretyckiego pytania: czy w wyborze *Z archiwum* nie powinny się może znaleźć teksty mniej reprezentatywne, ukazujące nieznanne dotychczas poszukiwania, pasje, tropy literackie?

Zbiór bez mała sześćdziesięciu tekstów jest bowiem czymś w rodzaju pływa-ka ukazującego położenie harpuna tkwiącego w boku wieloryba; tropu w śniegu wskazującego kierunek ucieczki niedźwiedzia czy lisa. To echa: blade, czasem zniekształcone echa prac i obsesji Miłosza, które znamy z kanonu jego tekstów. *Z archiwum* okazuje się księgą potwierżeń: tak, znamy to, znamy. Bezcenne narzędzie dla tekstologów, dla tropicieli wariantów; przede wszystkim może dla buchalterów słowa, sumujących wszystkie odwołania do *Ziemi jałowej* (co najmniej dwukrotnie użyte zostały w tekstach, przygotowanych do wygłoszenia w roku 1946), wszystkie porównania do bazaltowej kostki warszawskich ulic, zjeżonej w sierpniu 1944 roku od trafiających kul karabinowych jak kolęje jeża (trzy odwołania), wszystkie wspomnienia zgrzytającego w zębach ceglanego pyłu stolicy (dwa echa). Dla prostolinijnego czytelnika wierszy i esejów będzie to doświadczenie na granicy zawodu: czy ten wieczny powrót fraz, metafor, ustawień głosu i budowania wizerunku jest jeszcze świadectwem obsesji, czy już tylko recyklingu?

Jeśli nie streszczać wątków *Z archiwum* w sposób już nazbyt powierzchowny i złośliwy, wypunktowujący jedynie najbardziej charakterystyczne, powracające wątki – cierpkie wycieczki pod adresem przedwojennej, „półfeudalnej” Polski; duma ze stryja Oskara V. de L., będącego to litewskim dyplomatą, to francuskim poetą; reakcje na herbertowskiego „Chodasiewicza” (trzy teksty o zbliżonej dynamice: Miłosz jako tłumacz i propagator Herberta, fatalna kolacja u Carpenterów, niedokończony pojedynek) – trzeba omówić w sposób bardziej szczegółowy kilka bodaj tekstów, jakie znalazły się w tomie.

Antologia poezji angielskiej – najpewniej wstęp do antologii przygotowywanej jesienią 1945 roku dla Czytelnika wspólnie z Aleksandrem Messing-Mierzejewskim, która nie ukazała się z powodów politycznych. Zwiąże zestawienie najważniejszych nurtów, od normańsko-łacińskich początków, po modernistów i Eliota, zapowiadające trochę swym stylem późniejszą o trzydzieści lat *The History of Polish Literature*. Robi wrażenie „euphuizm”, jedna z manier angielskiej poezji późnorennesansowej, która wzmiankowana będzie również w *Traktacie*

poetyckim („W czym jego sekret? Już w Anglii Szekspira / Kierunek powstał, tak zwany euphuism: / Pisać doradzał tylko metaforą”).

Historia londyńska – zdumiewający drobiazg, przypominający w swej pierwszej części, traktującej o kłopotach z nabyciem spodni w zubożałym, „kuponowym” Londynie, zapomniane humoreski Janusza Meissnera, w drugiej będący zapisem refleksji po pierwszym powojennym opuszczeniu kraju. Znajome z wierszy motywy: grób matki na Żuławach, Ziemia widziana z wysoka (cf. *Świat. Poema naiwne*), ruiny Warszawy jako *pendant* ruin klasycznych (cf. profesor Gil w *Zdobyciu władzy*), niechętnie przyjmowany za swój przymus oplakania umarłych (cf. wiersz *W Warszawie* z tomu *Ocalenie*). Wydawcy ponownie wykazali się niewzruszoną powagą, opatrując nazwiska z części humorystycznej tekstu, o brzmieniu tak wymownym, jak „Korkożyński” czy „Van Pickerel” przypisem: „Osoby niezidentyfikowane”.

Trzy lata temu miało miejsce wydarzenie... – przemówienie okolicznościowe, wygłoszone przez Miłosza w trzecią rocznicę wybuchu powstania w getcie warszawskim w hebrajskiej szkole Beth Hillel w Bostonie: przejmujące i patetyczne świadectwo, pierwszy zapis doznań, które zaowocują *Campo di Fiori* (karuzela...) oraz kilkanaście mniej znanymi wierszami „niemieckimi”, w tym przede wszystkim *Siegfriedzie i Erice* ze *Światła dziennego*, potem *Z notatnika oficera Rudolfa Groethe* z tomu *Kroniki*. „Nie ufam staranności i precyzji tego niby cywilizowanego ludu” – wybuchnie Miłosz pod adresem Niemców, przemawiając w Beth Hillel. Notabene w tym tekście (podobnie jak w pozostałych pisanych z pozycji urzędnika ambasady) widać obciążenie trybutami politycznymi i propagandowymi: w 1946 roku Miłosz w tonie urzędowego „trudnego optymizmu” pisze o zniknięciu z Polski antysemityzmu, o „pozostałościach przeszłości” skazanych na zniknięcie, o bezprecedensowej postawie rządu, „oferującego Żydom wysokie stanowiska w administracji”. Dziesięć lat później jego ocena polityki Polski Ludowej w tych kwestiach będzie całkowicie odmienna: na łamach paryskiego „*Demain*” i waszyngtońskich „*Problems of Communism*” wskaże na wykorzystywanie antysemityzmu w rozgrywkach frakcyjnych i niejasną rolę służb bezpieczeństwa podczas pogromu kieleckiego.

Każdy z tych tekstów niesie w sobie zasób odwołań, skojarzeń, cytatów, które znamy z „kanonu Miłosza”, czasem po przebyciu zdumiewającej drogi: anonimowy dwuwiersz „*An Englishman Italianated / is a devil incarnated*”, który Miłosz umieścił w nieopublikowanej ostatecznie polemice prasowej ze Stefanem Kisielewskim z września 1946 roku, pojawi się w jednym z niewielu głęboko lirycznych fragmentów *Zdobycia władzy* (1952). Cierpkie uwagi z *Notatnika: Chicago*, głęboka niechęć do bezmyślnej Ameryki pierwszym echem trafią do *Nie ma wzroku* ze *Światła dziennego* („Wieżie miękką windą lukrowana piąstka, *girl* / Nucąca lukrowaną piosenkę”), drugim, pogłębianym – do *Widzeń nad Zatoką San Francisco*.

Paradoksalnie, najwięcej „nowego Miłosza” w tekstach sprawozdawczych, użytkowych, bezosobowych niemal, w których opisuje, już to jako pracownik resortu dyplomacji, już to jako zdesperowany, utrzymujący rodzinę freelancer,

duże obszary kultury. *Literatura amerykańska w roku 1948*, tekst określony przez samego autora, jako „czysto służebny, referujący artykuł” to panorama cierpka, niezycziwa, wyraźnie pisana z myślą o czynnikach krajowych – ale gdzie indziej spotkamy uwagi Miłosza o Berrymanie (w 1948 roku!), Menckenie, „Partisan Review”? Podobnie nieoczekiwany gatunkowo w dorobku noblisty tekst *Współczesna krytyka sztuki w Polsce*, napisany w styczniu 1956 roku z myślą o publikacji na łamach „Foreign Review”: Miłosz piszący o słynnym Festiwalu Młodzi '55 i cytujący „Przegląd Kulturalny”? Paradne.

W ogromnej większości jednak są to bruliony – żyzne pola dla tekstologów, humus, na którym wyrosną tysiące przypisów. Ich lektura poszerzy jednak nasze rozumienie pisarza w ograniczonym tylko stopniu. Wydanie tych tekstów było oczywistą powinnością edytorską. Czy jest równie oczywistą powinnością czytelniczą dla wszystkich, którzy stale prowadzą swoje dialogi z Miłoszem, szukają w jego dziele narzędzi rozumienia świata? Jest to pewnie wybór między kontemplowaniem gipsowych odlewów zostawionych w śniegu niedźwiedzich tropów a podziwianiem niedźwiedzia bodaj i nieżywego, bodaj i wypchanego, ale wciąż doskonałego i domkniętego w swej niedźwiedziowości.